

OSTATNIE MIEJSCE, W KTÓRYM MŁODA AMERYKAŃSKA
PIELĘGNIARKA SPODZIEWA SIĘ ZNALEŹĆ SZCZĘŚCIE

A close-up photograph of a woman's eyes, which are a striking light blue color. She is wearing a black niqab, which covers her face and leaves only her eyes visible. The background is dark, making the eyes stand out prominently.

ROBERTA
GATELY

SZMINKA
W AFGANISTANIE

Prolog

Afganistan, 2002 rok

— Słyszysz? — rozległ się szept.

Elsa wstrzymała oddech i usłyszała cichy szelest kroków na gałązkach i liściach. Kątem oka dostrzegła ciemne sylwetki wśród drzew, a kiedy się obejrzała, zobaczyła błysk promieni słonecznych odbitych od lufy karabinu.

Nie ulegało wątpliwości, że talibowie ich odkryli.

O Jezusa, pomyślała. Nie uda nam się uciec.

Elsa знаła okrutną nienawiść talibów — trudno było nie zauważyć, że siali śmierć i zniszczenie.

Ogarnęła ją fala obezwładniającego strachu, miała ochotę krzyknąć, zbierało jej się na wymioty, ale nie było teraz na to czasu. Usiłowała pochwycić spojrzenie Parwin, jednak przyjaciółka patrzyła w inną stronę, próbując zlokalizować źródło dźwięku.

— Biegiem! — krzyknął ktoś i nagle zaczął się szalony wyścig.

Ale nie dotyczył on Elsy. Jej nogi zaplątały się w materiał okrywającej ją szczelnie burki. Długo usiłowała się uwolnić, aż w końcu zrzuciła krępujące ruchy okrycie i puściła się biegiem tak szybko, że jej plastikowe buty ledwo dotykały ziemi. Jeszcze nigdy tak nie pędziła. Serce jej waliło, a powietrze łykała wielkimi haustami.

Słyszała za sobą głośnie sapanie.

Czy udało jej się zgubić pościg?

Nagle poczuła ucisk w klatce piersiowej, chciała krzyknąć, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Straciła jasność myślenia. Wiedziała jedynie, że nie chce zginąć tutaj, w Afganistanie.

— Boże, pozwól mi się uratować — modliła się.

Stał przed nią niewielki domek i choć nie chronił go mur, jaki otaczał typowe afgańskie domostwa, jednak stanowił ich jedyną nadzieję. Jeśli tylko zdążą do niego dobiec. Odległość wydawała się jednak zbyt duża, a ona biegła zbyt wolno. Ale nie chciała się poddać, pomagała sobie, rozpaczliwie wymachując rękami.

Elsa i inni dobiegli wreszcie do domku, choć wydawało im się, że zajęło to całą wieczność. Stała jak wryta i odwróciła się. Ogarniała ją narastająca panika.

Parwin.

Omiatała wzrokiem horyzont, ale nie dostrzegła nigdzie śladu przyjaciółki.

Elsie zaciskała się krtań, kiedy usiłowała złapać dech. Miała wrażenie, że serce eksploduje jej w piersi.

Ukryła twarz w dłoniach. Jak mogło do tego dojść? — zastanawiała się. Co oni tu robią?

Co ona tu robi? Pielęgniarka z Bostonu w pieprzonym Afganistanie. Rany boskie!

Oczy piekły ją od łez. Próbowwała je wytrzeć drżącymi rękami.

— O Boże — westchnęła. — Gdzie jesteś, Parwin?

1

Boston, 1994 rok

Uwagę szesnastoletniej Elsy zwrócił wyraz beznadziei w ich oczach. Czarno-białe zdjęcia głodujących dzieci z napęczniałymi brzuskami napełniły ją przerażeniem, ale prześladowało ją szczególnie jedno z nich — zbliżenie wychudzonej jak szkielet matki z maleńkim niemowlęciem w ramionach i dwójką starszych, wynędzniałych dzieci trzymających się jej chudych rąk. Elsie zdawało się, że patrzają jej prosto w oczy.

Przeczytała podpis informujący, że są to uchodźcy, którzy uniknęli śmierci z rąk zbuntowanych członków plemienia, żeby wpaść w szpony nędzy. Oni nie głodują, ale umierają. Cała czwórka cierpi na malarię i dyzenterię i bez pomocy z zewnątrz najpewniej umrze w ciągu miesiąca.

Elsa spojrzała na okładkę, by sprawdzić datę wydania magazynu, i oczy rozszerzyły się jej z przerażenia.

Pismo ukazało się przed dwoma miesiącami.

Ogarnęło ją dziwne uczucie, jakby popadła w rodzaj odrętwienia. Usiadła na podłodze, a na kolanach położyła egzemplarz magazynu. Przewróciła stronę i zaczęła czytać z zapartym tchem:

Odkąd pogłębia się tragedia w Rwandzie i nadal rośnie liczba ofiar, światowi liderzy wydają się dotknięci

paralizem i niezdolni do działania. Jedynie bohaterskie wysiłki nielicznych lekarzy i pielęgniarek wyrrywają tysiące ludzi z objęć śmierci. Potrzeba jednak więcej osób do pomocy, dlatego ONZ apeluje o zgłaszanie się chętnych do pracy.

Elsa przeczytała tekst po raz drugi i przewróciła stronę.

Na dużym zdjęciu widać było setki kobiet i dzieci stojących w niekończącej się kolejce po swoją rację żywności. Kobiety, a nawet małe dzieci, w oczekiwaniu na swoją kolej zdawały się pogrążone w letargu, wręcz pozbawione życia. Żadne z nich nie patrzyło w obiektyw. To była fotografia dokumentująca absolutną rozpacz.

Elsa z westchnieniem przeciągnęła palcami po zdjęciu. Popatrzyła na następną stronę, na której zobaczyła długą serię fotografii, same zwłoki, niekończące się rzędy niemowląt i dzieci, całe rodziny leżące na drodze czy na polu, przytulone do siebie w majestacie śmierci. Przyłożyła dłoń do ust i zamknęła oczy.

Ale kiedy znowu je otworzyła, dzieci nadal tam były. Wróciła na pierwszą stronę i ponownie przeczytała całą historię. Zatrzymała się przy fotografii przedstawiającej matkę z małymi dziećmi. Zastanawiała się, gdzie teraz są, czy umarli, czy zostali w jakiś cudowny sposób uratowani. Trudno było uwierzyć, że ludzie mogą żyć w takich warunkach.

Jak w ogóle mogłaby skarżyć się na swoje życie?

Zatrzymała się przy błyszczącym zdjęciu pielęgniarki tulącej dziecko. Można było odnieść wrażenie, że kobieta płacze. Podpis wyjaśniał, że dziecko nie żyje, a pielęgniarka szuka jego matki.

Ona robi coś ważnego, pomyślała Elsa.

Zamknęła czasopismo i zaczęła oddychać głęboko, żeby się uspokoić, zanim spojrzy na zegarek. Już czwarta! Kiedy ten czas zleciał? Szybko pozbierała resztę książek na wózek i podbiegła do bibliotecznej recepcji.

— Przepraszam, panno James, straciłam poczucie czasu — powiedziała do bibliotekarki. Potrzebowała tej pracy i nie mogła sobie pozwolić na to, żeby ją zwolnili. — Skończę to jutro.

Stara bibliotekarka, poprawiając aparat słuchowy, uśmiechnęła się do Elsy.

— O co chodzi, skarbie?

— Skończę jutro. — Elsa prawie krzyczała. — Czy mogę to zatrzymać? — spytała, pokazując czasopismo. — To numer sprzed dwóch miesięcy.

— Chodzi ci o ten magazyn? — upewniała się panna James. — Nie ma sprawy.

Elsa wracała do domu po wąskich, zatłoczonych uliczkach z czasopismem schowanym w plecaku. Jeśli się pospieszy, matka zdąży do pracy. Wbiegła do domu, wyciągnęła z plecaka pismo i pokazała matce zdjęcia.

— O Boże, Elso, po co oglądasz takie rzeczy? Chryste, to straszne! — powiedziała matka, wsuwając ręce w rękawy starego płaszcza.

— Wiesz, mamo, pomyślałam sobie, że gdybym została pielęgniarką, mogłabym pomagać innym.

— To tylko marzenia, prawda? Nic dobrego jeszcze nie wynikło z marzeń, których nie można spełnić. Rozejrzyj się dokoła, skarbie. Mieszkamy w najędźniejszym trzypiętrowym domu w najbiedniejszej części Dorchester. Diana jest w coraz gorszym stanie, więc nawet nie umiem sobie wyobrazić żadnej poprawy sytuacji.

— Ale jeśli przestaniemy pragnąć czegoś bardzo mocno, jeśli nie będziemy chcieli osiągnąć więcej, nigdy nic się nie zmieni.

— Od śmierci twojego ojca pracuję na dwóch posadach i każdego dnia marzę o tym, żeby było mi łatwiej. Po prostu nie chcę, żebyś się rozczarowała, to wszystko.

Jednak Elsa była rozczarowana. Zawsze pragnęła tego, czego nie mogła mieć: rudych włosów swojej przyjaciółki Annie,

ładnego domu, prawdziwej rodziny. Zawsze chciała czegoś więcej. Bóg świadkiem, że jeśli mieszka się w Dorchester, pragnie się wielu rzeczy.

— Elsa, naucz się cieszyć tym, co masz. Zawsze jest ktoś, kto ma gorzej niż ty.

— Właśnie o to chodzi. Ci uchodźcy mają gorzej. I chciałabym im pomóc.

— Możesz zacząć od Diany. Nakarmiłam ją, ale trzeba ją przewinąć i położyć do łóżka. Do zobaczenia. — Matka pospiesznie pocałowała ją w policzek i popędziła do pracy na drugą zmianę w supermarkecie, gdzie nabijała na kasę ceny produktów, na które sama ledwo mogła sobie pozwolić.

Życie nie jest sprawiedliwe, myślała ponuro Elsa, ale to nie znaczy, że można siedzieć spokojnie i godzić się na to. Zdjęła płaszcz i podeszła do Diany, która niezdarnie tkwiła na zbyt dużym, wysokim foteliku. Głowa dziecka podskakiwała na drobniutkiej szyi, póki Elsa nie podłożyła jej z tyłu poduszki.

— No i jak, Diano? Tak lepiej? — zagałała do dziewczynki z czułością w głosie.

Diana, czteroletnia córeczka Janice, starszej siostry Elsy, była nieodwracalnie upośledzona, tak przynajmniej twierdzili lekarze. Elsa wraz z matką poświęcały wszystkie siły na karmienie i opiekę nad małą. Janice nigdy nie było w domu, a ich brat Tommy, najstarszy z całej trójki, zjawiał się tylko po to, by wyciągnąć pieniądze od matki lub Elsy.

Nie zawsze tak było. Choć pieniędzy zazwyczaj im brakowało, to kiedyś przynajmniej stanowili rodzinę. A gdy urodziła się Diana, wniosła do domu wiele uśmiechu i radości. Przynajmniej na początku. To były dobre czasy, przychodziła do nich wtedy nawet Annie, jedyna bliska przyjaciółka Elsy.

Annie mieszkała ze swoją polską babką w równie nędznym trzypiętrowym domu tuż za rogiem. To Annie siadywała z Elsą, która karmiła, przewijała Dianę i opiekowała się nią. To Annie pewnego popołudnia szperała w szufladach biurka Janice i znalazła tam starą szminkę do ust o nazwie Liliowa Mgła.

Po naleganiach Elsy otworzyła tubkę i nałożyła na usta warstwę szminki. Kolor był co prawda bardzo staroświecki, ale obydwie malowały się na zmianę.

Annie, która swoje rude włosy wiązała gumką, spojrzała w lustro i oznajmiła, że ten kolor jej nie pasuje.

— Przy moich włosach lepszy będzie brąz. A ten kolor jest okropny.

Elsa, niewysoka i drobna, zawsze marzyła o takich włosach jak Annie, o czymś, co by ją wyróżniało. Kiedy nadeszła jej kolej, stanęła przed lustrem i pomalowała usta szminką koloru lilaróż. Zaciśnęła wargi, żeby równo rozprowadzić kosmetyk, i spojrzała na swoje odbicie. Jej usta miały lekko fioletowy odcień, który idealnie pasował do brązowych włosów. Odwróciła się do Annie.

— No i co o tym sądzisz?

Annie patrzyła z podziwem na przyjaciółkę.

— Elso, wyglądasz pięknie. Zawsze powinnaś malować usta.

Elsa spojrzała w lustro i znowu się uśmiechnęła. Sama musiała to przyznać, że twarz, która na nią patrzyła, była ładna. Uśmiechnęła się do swojego odbicia, jakby zobaczyła siebie po raz pierwszy — błyszczące włosy, porcelanowa cera, zadarty nos i pełne, fioletowe wargi. Fascynowała ją sama czynność malowania ust — łagodne pociągnięcie kolorem, zaciśnięcie warg, żeby równo rozprowadzić szminkę, i na koniec spojrzenie w lustro.

Szminka to coś zadziwiającego, pomyślała Elsa. Nie tylko zmieniała kolor ust, dodawała też niewątpliwego blasku oczom i pozwalała jej chociaż przez chwilę poczuć się tak, jak te ważne kobiety z luksusowych magazynów. Te kobiety, które się liczyły, malowały usta. Znowu uśmiechnęła się do swojego odbicia.

— O Jezu, Elso, świetnie wyglądasz — oznajmiła Annie.

Rzeczywiście, pomyślała Elsa. Naprawdę świetnie wyglądam.

Nadal uśmiechała się na wspomnienie tamtego popołudnia i choć Annie już dawno mieszkała gdzie indziej, to zamięrowanie Elsy do szminek pozostało. Maźnięcie odważnym odcieniem śliwki czy delikatnym różem wystarczało, by poprawić jej humor, co w Dorchester było konieczne.

Szminka to jednak magia.

2

Kiedy Elsa miała siedemnaście lat, przytłaczały ją obowiązki — praca, szkoła i Diana, przy czym opieka nad siostrzenicą zabierała jej najwięcej czasu. Chore dziecko wymagało nieustannej uwagi. Należało pilnować, żeby się nie udławiła czy nie ześlizgnęła z fotelika.

Samo karmienie zajmowało wiele godzin. Trudno było włożyć jej do buzi łyżeczkę zmiksowanego mięsa czy warzyw i namówić, żeby to połknęła. Mycie i przebieranie z każdym dniem stawało się trudniejsze, bo chociaż umysł dziewczynki się nie rozwijał, to jej ciało rosło. Była ciężka i sztywna, a poruszanie się sprawiało jej trudność. Niewielkie mieszkanko wypełniały specjalne urządzenia i produkty żywnościowe, niezbędne do utrzymania Diany przy życiu. A że Janice nie pojawiła się od miesięcy, więc wszystko spoczywało na barkach Elsy i jej matki.

Margaret często mamrotała, że nie potrafi sobie wyobrazić, co będzie za dziesięć czy dwadzieścia lat. A Elsa, która przejmowała od matki obowiązki opiekuńcze po powrocie ze szkoły, czuła coraz większy żal do siostry i brata, którzy ją opuścili.

W końcu zupełnie wyczerpana Margaret w towarzystwie Elsy udała się do lekarzy Diany.

— Potrzebujemy pomocy — powiedziała. — Opiekujemy

się nią tylko my dwie. Już nie dajemy sobie rady.

Lekarze pokiwali głowami i załatwili Dianie miejsce w specjalnym domu opieki.

— St. John's to dobry zakład — orzekli. — Nie musi się pani o nic martwić, pani Murphy, bo państwo pokrywa koszty.

— A co z matką Diany? Czy wie o tej decyzji? — pytał jeden z młodych lekarzy.

— Nie mamy z nią kontaktu. Ja jestem prawnym opiekunem Diany. — Margaret opuściła głowę, zawstydzona zachowaniem Janice.

Matka i córka wyszły z kliniki w milczeniu, a kiedy czekały na autobus, Margaret w końcu się odezwała.

— To słuszna decyzja — powiedziała z nadzieją w głosie, jakby chciała przekonać samą siebie. — Nic innego nie mogliśmy zrobić.

Chociaż Elsa wiedziała, że matka ma rację, nie mogła się pozbyć dręczącego poczucia winy.



Wkrótce Elsa zorientowała się, że nie potrafi tak po prostu pogodzić się z oddaniem Diany do ośrodka. Dlatego dwa razy w tygodniu wsiadała do kolejki, a potem do autobusu i ruszała w długą drogę, by odwiedzić siostrzenicę w domu opieki.

— Halo, Diano — mówiła za każdym razem, a jej nastoletni głos stawał się śpiewny na widok małej dziewczynki w maleńkim wózku inwalidzkim. Pochylała się, żeby pogłaskać policzek Diany i pocałować go, ale dziewczynka nawet nie drgnęła. Elsa wyjmowała Dianę z wózka i siadała, tuląc ją mocno, ale nie wywoływało to żadnej reakcji, uśmiechu czy choćby mrugnienia powieką — niczego, co wskazywałoby na to, że dziewczynka rejestruje jej obecność.

Elsa przyglądała się, jak pielęgniarki i terapeuci masowali napięte mięśnie małej Diany, pochylali się, by rozprostować jej ręce i nogi, żeby nie uległy zniekształceniu, tak jak u innych dzieci, które widywała Elsa.

Pewnego popołudnia, kiedy siedziała obok Diany, dziewczynka zeszywniała i dostała ataku. Oczy jakby zapadły się w czaszkę, z ust pociekły krew i ślina, a na siedzeniu wokół Diany wykwitła plama moczu. Dziecko upadło na podłogę, skręcając się i wijąc. Elsa zerwała się z miejsca i pobiegła w głąb korytarza.

— Na pomoc! — zawołała. — Na pomoc! To Diana! Szybko! Błagam! — krzyczała. Natychmiast przybiegły pielęgniarki, odsunęły ją na bok, żeby wejść do pokoju.

Ktoś wezwał karetkę i po chwili zjawili się sanitariusze. Położyli Dianę na wózek, wsunęli do karetki, pokazując Elsie, żeby wsiadła z przodu. Kiedy karetka przedzierała się przez zatłoczone ulice Bostonu, w głowie Elsy huczał ryk jej syreny. Starła się usłyszeć, co się dzieje w głębi ambulansu, gdzie leżała Diana, ale wycie sygnału zagłuszało wszystkie inne dźwięki.

Kiedy karetka z piskiem opon zahamowała przed miejskim szpitalem w Bostonie, Elsa wyskoczyła przednimi drzwiami.

— Chcę zobaczyć Dianę — poprosiła. Ale jej cichy głos zginął w atmosferze pośpiechu. Wepchnięto ją natomiast do obskurnej poczekalni, w której unosił się smród wymiocin. Elsa przysiadła na brzeżku pomarańczowego plastikowego krzesła i zaczęła obgryzać paznokcie i szarpać luźną nitkę w płaszczu.

W kąciakach jej oczu zbierały się łzy, po czym spływały po policzkach, gdzie mieszały się ze smarkami z nosa. Przetarła twarz rękawem. W korytarzu skrzypnęły drzwi, a obok Elsy pojawiła się matka.

— Jezus Maria, Józefie święty! — Margaret pociągnęła nosem. — Zadzwonili do mnie z domu opieki. Co się stało?

— Och, mamó... — Elsa szlochała, przytulając się do Margaret. Płacząc, opowiedziała jej wydarzenia popołudnia. — Nie wiem, gdzie jest Diana. Zostawili mnie tutaj — dodała i znów zaniósł się płaczem.

Margaret westchnęła, opanowała się i mocniej przytuliła

Elsę. Siedziały w milczeniu, a poczekalnia przypominała grobowiec. Nie miały sobie nic do powiedzenia. Oddały przecież Dianę do domu opieki.

Do niewielkiej poczekalni wszedł młody lekarz w okularach, ściskając notatnik na metalowej podkładce, a za nim podążała korpulentna pielęgniarka, całkowicie pochłonięta zakładaniem włosów za uszy. Usiedli, biorąc między siebie Margaret i Elsę. Lekarz zdjął okulary i nie przestając wycierać szkieł, zwrócił się do kobiety:

— Z przykrością przekazuję pani tę wiadomość, pani Murphy — powiedział łagodnym głosem. — Pani córeczka zmarła. Robiliśmy wszystko, co możliwe, ale nie udało nam się jej uratować.

Zamilkł na chwilę, a Elsa starała się powstrzymać szloch. Pielęgniarka objęła ją ramieniem, a lekarz kontynuował:

— Widziałem jej kartotekę. — Dla wzmocnienia efektu pokazał notatnik. — Obawiam się, że jej śmierć była tylko kwestią czasu — dodał i wstał, usiłując niezręcznie je pocieszyć. — Jej cierpienie się skończyło. Mimo to bardzo mi przykro z powodu pani nieszczęścia — powiedział, zmiierzając do drzwi.

Pielęgniarka została, a jej obfite kształty rozsadały krzesło, wylewając się nawet na krzesło Elsy. Podała Margaret papierowe chusteczki.

— Czy mam do kogoś zadzwonić? — spytała spokojnie. Margaret pokręciła głową. Po chwili milczenia pielęgniarka znowu się odezwała. — Mam na imię Maureen i jeśli później będziecie chciały o coś zapytać, możecie przyjść albo zadzwonić. — Pogłaskała Elsę po plecach i popatrzyła jej w oczy. — Straciłam małą siostrzyczkę, kiedy byłam mniej więcej w twoim wieku. Wiem, co czujesz.

— Ale... — Elsa chciała wytłumaczyć, że Diana nie była jej siostrą, jednak zrezygnowała z tego. Wpatrywała się w podłogę, a łzy moczyły jej płaszcz.

— Chcecie zobaczyć ją przed wyjściem? — spytała

pielęgniarka.

— Dianę? Naprawdę? — Elsa wyprostowała się na krześle i wytarła nos.

— Oczywiście. Czasami to pomaga, jeśli można się pożegnać.

— Bardzo proszę, chciałabym ją zobaczyć. — Elsa pociągnęła nosem i wstała, pragnąc wyrwać się z zatechłej poczekalni.

Margaret westchnęła i nie odrywając wzroku od podłogi, powiedziała:

— To nie dla mnie, bardzo dziękuję. Widziałam tak wiele, że starczy mi tego do końca życia. Idź. Poczekam tu na ciebie.

Maureen poprowadziła Elbę oświetlonym jasno korytarzem do pokoju, w którym leżała Diana. Kręciła się po nim pielęgniarka, myjąc sprzęt, wyłączając monitory i pompy. Na podłodze wały się zużyte strzykawki, gumowe rurki, kawałki papieru i porzucone lateksowe rękawiczki. Pośrodku tego bałaganu stały błyszczące stalowe nosze. Diana zdawała się taka maleńka... Można było odnieść wrażenie, że jest jej dobrze. Ustał ból kruchych kości i napięcie mięśni, a wargi ułożyły się w coś na kształt uśmiechu.

Elsa ujęła rękę Diany i pogłaskała jej czoło. Dziewczynka wydawała się tak spokojna, że Elsa zwróciła się do pielęgniarki:

— Siostra jest pewna, że...

Maureen skinęła głową.

— Jesteśmy absolutnie pewni.

Po twarzy Elsy popłynęły łzy.

— Wiesz Diano, że zawsze będziemy cię kochać. — Pochyliła się i pocałowała policzek siostrzenicy, po czym odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi. — Dziękuję — szepnęła do Maureen, która mocno ją przytuliła.

Szły korytarzem z powrotem do poczekalni.

— Jesteś gotowa? — zapytała Elbę matka. — Chodź, wracajmy do domu.

Maureen podała rękę Margaret i ścisnęła ramię Elsy.

— Zadzwońcie, gdybyście chciały porozmawiać — powtórzyła. Podała Elsie swoją wizytówkę, a ona wsunęła ją do kieszeni, zanim matka zdążyła ją porwać. Ruszyły do wyjścia, a kiedy znalazły się na zewnątrz, poczuły chłodne jesienne powietrze.

W drodze do domu Margaret nieustannie powtarzała, że śmierć jest wybawieniem dla Diany, że taka była wola Boga. Elsa podejrzewała jednak, że w ten sposób matka chciała przekonać samą siebie.



Życie wróciło do normy, jednak Elsa czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek. Teraz odpadły jej nawet podróże do domu opieki dwa razy w tygodniu. Chciała z kimś porozmawiać, ale Margaret nigdy nie była skłonna do konwersacji, a obowiązki Elsy w szkole i w domu nie pozwoliły jej zawrzeć bliskich przyjaźni. Czuła się samotna. Pewnego zimnego wieczoru otuliła się płaszczem i wyruszyła na spacer. Wsunęła ręce głęboko w kieszenie, gdzie palce napotkały niewielki kartonik. Wyciągnęła go. *Maureen Hill, dyplomowana pielęgniarka*. Obok znajdował się numer telefonu oddziału nagłych wypadków miejskiego szpitala w Bostonie. Elsa przez chwilę macała palcami wypukłe litery, potem włożyła wizytówkę z powrotem do kieszeni i zawróciła w stronę domu.

Następnego dnia zjawiła się w recepcji oddziału nagłych wypadków i zapytała o Maureen. Recepcjonistka się uśmiechnęła.

— Kogo mam zapowiedzieć? — spytała.

— Elsa Murphy.

Recepcjonistka zniknęła i po chwili oczekiwania zjawiła się z uśmiechniętą Maureen. Brązowe włosy pielęgniarki ściągnięte były do tyłu w ciasny kok, z którego wysuwały się niesforne kosmyki. Kiedy znalazła się bliżej, Elsa zauważyła drobne piegi widoczne na jej jasnej skórze. Trudno odgadnąć jej wiek,

ale jest stara, ma co najmniej czterdziestkę, pomyślała.

— Och, Elso, wejdz. Miło cię widzieć. — Głos miała ciepły i miękki, podobnie łagodny był jej dotyk. Zabrała Elsę do pokoju dla personelu i wysunęła dwa krzesła, żeby mogły usiąść. — Jak się masz, skarbie? — zapytała tak kojąco, że Elsa zamiast odpowiedzieć, poczuła skurcz żołądka i zaczęła płakać. Delikatne łkanie szybko przerodziło się w głośny szloch.

Nie przestając płakać, wydukała swoją opowieść. Powiedziała Maureen wszystko o Dianie, Janice i mamie.

— Biedna Diana nie miała żadnych szans w tej rodzinie.

— Skarbie, zrobiłaś dla niej wszystko, co mogłaś. Ona była bardzo chora. Widziałam pacjentów w podobnym stanie i to, że trzymałyście ją z mamą w domu tak długo, świadczy naprawdę o wielkiej miłości.

Maureen pochyliła się nieco i mówiła cicho:

— Moja siostra urodziła się, kiedy miałam piętnaście lat. Pamiętam, jaka byłam podekscytowana tym, że zjawi się niemowlę, dopóki się nie urodziła i nie przekonaliśmy się, jak bardzo jest zdeformowana. Serce o mało mi nie pękło. Nigdy nawet nie wzięliśmy jej do domu. Zmarła w szpitalu, w ogóle nie zdążyła się przespać w swej pięknej kołysce ani ponosić ubranek, które jej kupiliśmy. — Dotknęła ręki Elsy. — Kiedy umarła, wiedziałam, że zostanę pielęgniarką. Jak więc widzisz, doskonale rozumiem, jakie to może być smutne. Wiem też, że to może być dużo trudniejsze dla ciebie, niż było dla mnie. Ty znałaś Dianę, przez długi czas była częścią twojego życia. Miała szczęście, że kochałyście ją ty i twoja mama. — Maureen z uśmiechem ścisnęła rękę Elsy.

Dziewczyna pociągnęła nosem.

— Nie jestem taka pewna, czy to było szczęście, że Diana miała nas. Niczym się nie wyróżniamy. W mojej rodzinie nikt nie skończył szkoły średniej, a ja nie mam nawet żadnych prawdziwych przyjaciół.

Znowu pociągnęła nosem, po czym sięgnęła po chusteczkę.

— Nie chcę przez całe życie mieszkać w Dorchester. Chcę być kimś. Chcę chodzić do szkoły, wyrwać się stąd i coś robić. Kiedy naprawdę zaczynam się nad sobą użalać, przypominam sobie, że mogłoby być dużo gorzej. — Zamilkła na chwilę, a potem opowiedziała Maureen o artykule w czasopiśmie i o tamtych strasznych fotografiach. — Zna siostra te historie? Są koszmarnie. Ci ludzie potrzebują pomocy. Wstydzę się, że jestem taka samolubna.

— Skarbie, nie jesteś samolubna — powiedziała Maureen, biorąc Elbę w ramiona. — To całkiem ludzki odruch, że chce się dla siebie czegoś lepszego. Poszłam do szkoły pielęgniarskiej, żeby pomagać tym nieszczęsnym dzieciom, które nigdy nie wracają do domu, no i jestem na oddziale nagłych wypadków. Najlepsza rzecz, jaką możesz zrobić, to starać się dojść do czegoś. Wtedy będziesz mogła pomagać ludziom, ile tylko będziesz chciała.

Zupełnie tak, jakby Maureen czytała w jej myślach.

— Uważa siostra, że mogłabym zostać pielęgniarką? Obserwowałam je w domu opieki i wydawało mi się, że jako pielęgniarka mogłabym zrobić coś dobrego. Wydaje się, że to, co one robią, jest ważne. Nie mogłam pomóc Dianie i nie mogę pomóc uchodźcom, ale jako pielęgniarka mogłabym. Wiem, że dałabym radę. — Kiedy to mówiła, łzy przestały płynąć, a jej smutek trochę się rozproszył.

— Cieszę się, że to słyszę — powiedziała Maureen. — Bóg mi świadkiem, że potrzebujemy więcej pielęgniarek. Jeśli chcesz, przyniosę ci listę przedmiotów ze szkoły średniej, które przydadzą się na kursach pielęgniarskich. Możemy też zacząć się rozglądać za stypendiami.

Dobroć Maureen sprawiła, że Elsa znowu miała ochotę się rozplakać.

— Dziękuję — wyszeptwała.

Elsa przyszła do szpitala następnego dnia i Maureen pomogła jej wybrać przedmioty, które będą potrzebne w szkole pielęgniarskiej.



W ciągu kilku kolejnych miesięcy Elsa parę razy w tygodniu pojawiała się na oddziale nagłych wypadków, żeby zobaczyć się z Maureen, której zachęty pomagały jej zapomnieć o smutku. Po jakimś czasie recepcjonistka знаła już jej imię.

— Siadaj, Elso. Wyślę sygnał na pager Maureen — mówiła.

Kiedy stało się pewne, że Elsa będzie w szpitalu częstym gościem, Maureen załatwiła jej wolontariat, dzięki czemu dziewczyna służyła za gońca, pomagała też pacjentom i odwiedzającym.

W izbie przyjęć Elsa czuła się doskonale, wszystko tu zdawało się sprawą życia i śmierci. Tu, na oddziale nagłych wypadków, jej własne smutki rozplywały się i bledły. Tu była ważna i szanowana, przynajmniej przez Maureen, która starała się, żeby Elsa zawsze czuła się potrzebna.

Nadal pracowała w bibliotece, spędzała tam nawet więcej godzin, żeby dołożyć się do rachunków, które tak gnębiły matkę. Margaret ciągle pracowała od świtu do zmierzchu i miała niewiele czasu dla Elsy, która poważnie zajęła się książkami i nauką.

Dzięki determinacji, która była dla niej czymś nowym, miała dobre oceny. Kiedy zbliżał się koniec szkoły, Maureen powysyłała listy polecające i nie była wcale zdziwiona, że Else przyjęto do Boston College na kurs pielęgniarstwa z pełnym stypendium.

— Moja córka zostanie pielęgniarzką. — Margaret uśmiechnęła się na wieść o tym.